ROZMAITOŚCI.

Dnia 10. Lutego N:er 6. Roku 1844.

KASPEREK.

POWIASTKA DOMOWA

PRZEZ *A. G.*

Nie będzieto nowiną gdy powiém, że czasy dawnémi inni cale ludzie chodzili po ziemi naszej; że nie wspomnę Jordanowskiego starostę, który na jedno swoje ubranie, brał u żyda całą postawę sukna, albo skarbnika, z którym zrobiła się znajomość w Piętkach Szeligach na lustracyi, co trwała dwa lata i dwa miesiące. Pan Skarbnik był takiéj tuszy i statury, że bywało dla figlów zdjąwszy bót z nogi, kazał sypać do cholewy zboża co się zmieściło; wsypałeś dobrą półkorcówkę pszenicy, a jeszcze nie zasypałeś bóta po brzegi. Znałem jednego Kapitana z pułku Kromprycoskiego *); byłto Oficer walecznego serca i w pełnieniu ordynansów strictus jak żaden; aczkolwiek oszczędny, z swojego lenungu ledwie się wyżywić mógł, na samo bowiem upudrowanie czupryny potrzebował dzień podzień po dwie kwarty przenicznéj mąki; ale bo czapką swoją mógł nakryć doskonale pniak pasieczny, taka tam była głowa u niego. —

Że już nie wspomnę Gozdraszewskiego nieboszczyka, którego ciało gdy wsadzono na karawan, obydwie osie u przedniego koła pękły od razu. To bywało w czasie parady albo processyi ziemia zdawała się uginać pod bótami Panów Wielmożnych, ale i pyszniła się, boto były jéj dzieci, które z swojego łona wydała, płodami swojémi wypasła; dziś zabrała ich do swojego łona razem z ich karabelami i témi rumakami, co ich nosiły po-za Balkany do Warny, poza morza do Danii; w niejedném miejscu wybiły rysunek tych podków, które nasze wykuły kuźnie.

Dzisiejsi do przodków swoich tyle podobni ile szpadka francuzka do staréj karabeli; alež nie to co smutkiem naciska serce; bom pomny słów Heracego: Vix expers consilii mole ruit sua, a dodam własne zdanie: niż bryła rudy — lepsza szynka stali. Ale zacząwszy mówić w téj materyi, ciśnie się do pamięci nieboszczyk pan Chorąży Czchorski. Był on za swoich czasów tego niemal wzrostu i tuszy, jak Pan Jordanowski, o którym na wstępie się wspomniało; co zaś dziwniejsza, że Magnifica jego żona z domu Eismuntów secundo voto (bo dwa razy wchodził w sojusze małżeńskie) pomimo wysokich korków u trzewika i wysokiego upięcia na głowie, dochodziła o ledwie miary dziecięcia 10letniego. Owož była tak drobnego wzrostu i szczupłego ciałka, że do stołu cztéremi poduszkami ścielono jéj krzesełka, zaś do kościoła miała swoję osobną karétko na małych kółkach, w któréj woził ją hajduch i sadzał z uszanowaniem na ławce suknem czerwoném nakrytéj; po nabożeństwie zaś odwoził do dworu. Pomimo takiéj przewagi i prependerencyi jaką Pan Chorąży ciałem swoim górował nad Magnifiką, to wszelako gdy przyszło do tego, iž zdanie swoje położył na szalę ze zdaniem Imości, pokazało się, że to ostatnie, większą miało wagę i walor, bo przeważyło zawsze.

Maleńka pani Chorążyna była panią domu: wszystko tam iść musiało wedle jéj woli i ordynansu, przeciw którym wszelki upór był daremny.

---

*) Tak nazywano w Polszcze pułk Kronprynce z domu Sasów, potem pułk ten nosił imię Wodzickiego.

Za nieboszki pierwszéj żony — dóm pana Chorążego zalécał się porządkiem i staropolskim ładem; był w nim dostatek i wygoda, była i okazałość, gdzie takowéj honor imienia wymagał.

Bywały wypadki, gdzie i zbytek wkradał się do domu Chorążego; lecz i ten był przyzwoitym: kiedy przyszła potrzeba w przyjęciu gościa okazać ochotę i szczodrotę; wtenczas pod płaszczykiem gościnności rozgaszczał się zbytek kielicha, któremu wtórowała domowa piosenka:

Latały gołębie....
Siadały na dębie
I skubały mech;
Kto nie kocha Chorążego,
Kto nie pije zdrowia jego,
Bodaj zdech.

Tak było za nieboszki piérwszéj żony, ale gdy Chorąży po owdowieniu swojém, ponowił śluby małżeńskie z młodą z domu Eismuntów osobą, zaraz na dworze jego dały się dostrzegać niemałe odmiany. Stary wysłużony kucharz Jacenty, który z kuchnią, w jego młodości stawianą, razem się zestarzał, na jéj ognisku przez lat 40 utrzymywał ogień nieustanny, nie jednę już na zrazy rozsiekał stolnicę; w nazajutrz z-rana po ślubie przyniósł na tacy panu swemu polewkę winną z imbirem; a w tydzień potém, odprawiony — odpiął swój fartuch, płacząc żegnał się z swojém ogniskiem jakby z żoną, i z rądlami jakby dziećmi swojémi; młody jakiś Francuz zajął jego miejsce. Podobnież szatny ustąpił kamerlokajowi; szafarza przezwano marszałkiem; alić dopiéro powstał hałas w całéj okolicy, kiedy jednéj niedzieli, cały dwór Chorążego wystąpił w kościele w harbeitlach i w wypudrowanych czubach!

Mówiono pokątnie. że Chorąży na takie przekabacenia uczciwych ludzi na dziwolągów francuzkich, z bolem serca, i to pod tą kondycyją zezwolił, jeżeli jeden ze służących od tego honoru noszenia harbejtla uwolnion zostanie. Szczęśliwy ten sługa nazywał się Kasperek. Był on jednym z tych sług, którzy z ojca i pradziada trzymali się dworu Chorążostwa. Dobra zmieniały Panów, po obumarłym ojcu spadały na syna, a lipka przed dworem Pańskim, a Kasperek, na dworze Pańskim, był zawdy. Kasperek miał już lat 60 i to z górą; przecież zwano go Kasperkiem, podobnie jakto drzewo pękające ze starości, lipką nazywał zwyczaj od jednego pokolenia pochodzący do drugiego.

Kasperek dobrze był zapisany u Pana swego; jako sługa wierny, trzeźwy, przywiązany tak do Pana, iż za jego honor skoczyłby i w ogień, gdyby tego była potrzeba. Lubił téż i dzieci Pańskie; i jako żaden umiał się zabawić z niémi, poigrać; czasem i nastraszyć: że poskarży przed Tatuniem.

Chorąży miał trzech chłopaków: dwóch młodszych z powtórnego małżeństwa, najstarszy zaś, Nikodemek, był synem z nieboszką spłodzonym.

Dziecina ta cicha, dobra i potulna, chowała się pod zagniewaném zawsze okiem, a surową rózgą nielubiącéj go macochy; zaś dwaj młodsi z wtórego małżeństwa, byłyto żywe, swawolne i nieposłuszne chłopięta, jak bywają dzieci, które matka rozpieszcza a którym ojciem pobłaża.

Kiedy bywało swawolują młodsi, Kasperek napomina:

»Pofolgujcie paniczowie, jużby było dosyć tych figlów, czas by postatkować trocha, patrzcie na Nikodemka, bierzcie przykład z starszego braciszka, jaki grzeczny, jaki pilny, nad Donatą *) siedzi; uczy się pięknie, pana Dyrektora słucha.«

Na co chłopaki:

»Nikodemek to co inszego, on się boi mamuni, Pan Dyrektor ma rózgę na niego, ale co nas, to mu niewolno ani się dotknąć. Mamunia mu zakazała; a niech jeno Tatunio pojedzie do Lublina, to nam przywiezie zégarki złote, a Nikodemek nic nie dostanie.« Słysząc taką mowę dzieci, Kasperek bywało szedł pod piec kaflowy, niby się grzać, a rzeczywiście, ażeby ukrył łzy serdeczne, bo litował się nad biedną, matki nie mającą siérotą. Czasem téż i wtrącił słówko o Nikodemku; Chorąży słuchał z razu jego przedstawień i skarg, zdawało się, że je brał do serca.

»Nie ma co mówić,« odpowiadał ciągnąc z rożka tabakę, »jużto sam obserwuję i

*) Donata, ksiażka szkolna owych czasów.

postrzegam: Imość na to mówiący, przekłada swoje dzieci nad Nikodemka; przy zdarzonéj okazyi — wypadnie na to mówiący, rozmówić się z Jéjmością w téj materyi.«

Ale za drugą, trzecią razą, takie napomnienia sługi, zaczęły być nie do smaku Chorążemu, który dla miłéj zgody w domu, unikał wszelkiego sprzeciwiania się żonie.

Nareszcie pewnego razu, kiedy dobry Kasperek znowu coś napomknął o Nikodemku i instanogował za nim, zniecierpliwiony Chorąży taką molestacyją, acz ulubionego sługi, powstał z góry na niego. Wręcz mu zapowiedział: że jak raz jeszcze wtrąci się do rzeczy, które do niego nie należą, i poważy się aby wspomnieć o Nikodemku, »każę ja Marszarkowi (dodał w impecie gniewu) ażeby cię porządnie przeciągnął na gruszce, boś mi się na to mówiący, bardzo coś uzuchwalił — i ze sługi na kaznodzieję się sposobisz, skurczy byku!« Sługa nieprzywykły do słów obelżywych, piérwszy raz w życiu taką posłyszawszy groźbę, zamilkł, odszedł zasmucony w cichości, a w samotności zapłakał, a wieczorami szeptał pacierze za duszę ś. p. nieboszki matki Nikodemka; modlił się do Boga, ztamtąd pomocy, ztamtąd rady wyglądając.

Trzebaż tedy było tego nieszczęścia, że Nikodemek zachorował na ospę. Ta choroba dzisiaj nie straszna, dawniéj przed odkryciem téjże szczepienia przez Jenera, była w swoich skutkach okropną; jeżeli śmierci nie przyniosła, to oszpeceniem twarzy, kalectwem wzroku groziła. Chorążyna troskliwa o swoje dzieci i o nie tylko niespokojna, z tą uwagą, iż niebezpieczeństwo zagraża drugim dzieciom, wymogła na powolnym i słabym mężu, iż się nie opiérał temu, kiedy łóżeczko z chorym Nikodemkiem, zaniesiono na daleki, w lesie położony folwark, gdzie mieszkała stara po podstarościm pozostała wdowa, żyjąca na łaskawym chlebie. Téj niewieście, już staruszce, powierzono siérotę.

Ale opuszczone od rodziców dziécię, nie opuścił Pan Bóg — i Kasperek; Bóg czuwał a Kasperek opiekował się siérotą tak dobrze i starannie, że przecię przyszło do siebie, a lubo nosiło na twarzy znaki choroby, te ją nie oszpeciły, nie szkodziły jego oczkom uśmiéchającym się do swojego opiekuna, do Kasperka. Nikodemek powrócił do zdrowia; do rodzicielskiego domu nie powracał przecie. Chorążyna różne wyszukując pretexta — to rsz obawiając się recydywy, to znowu otworzenia się wyrzutów, nie dobrze zagojonych, starała się przeszkodzić temu; powrót Nikodemka do domu odwlékała od dnia do dnia; udecydowała w końcu, że chłopcu powietrze leśne snać służy i zdrowiu pomaga, kiedy z niebezpiecznéj wyprowadziło go choroby, dodała: że jak tylko chłopiec sił nabierze, nie da się uprzedzić przez nikogo, i sama po Nikodemka pojedzie.

Co gdy usłyszał Kasperek, pomyślał w duchu: »piérwéj na dłoni mojéj włosy wyrosną niż to nastąpi —« a w sercu ciérpiał wielkie udręczenie, co jakże nie miał ciérpieć, jakże boleć niémiał! patrząc na opuszczone od ojca dziécię, tego panicza i dziedzica świetnego imienia, w takiém nieposzanowaniu, poniwiérce widząc tę Pańską dziecinę, jak się bawiło, biegało bosakiem z chłopakami wiejskiémi, ale co najgorsza, że biegało nad wodę do browarku, gdzie Żyd arendarz mieszkał, i tamże igrało z bachórkami żydowskiémi; z tém obdartém plugactwem nie wierzącem w Chrystusa!

»I do tegoż przyszło w końcu, że to dziécię Pańskie, ozdobne imieniem i herbem Pańskim, dostało się do rąk żydowskich!!« — Serce Kasperka gorzkiémi płakało łzami, a dusza jego przemyśliwała nad sposobem, jakimby ratować to biédne dziécię, a razem salwować honor Pański, którego był wiernym, ba i przywiązanym sługą.

Przypadła kadencya Lubelskiego Trybunału; Chorąży, jako deputat, do wyjazdu dzień wyznaczył, a Magnifika Jegomości towarzyszyć miała, i dwór nie mały, do pocztu sług, do téj podróży wybranych; wprosił się Kasperek — pod pretextem, że jako życie nie widział nigdy Trybunału, a że i do służby Pańskiéj był najsposobniejszym, chętnie przystał na to Chorąży; atoli ze strony Magnifiki nastąpiło wyraźne niepozwalam: — od którego nie było Appellacyi.

Kiedy Kasperek mając już obietnicę Pańską sposobił się do drogi, dowiaduje się o wyroku Imości przeciwnym.

Zmartwił się bardzo; cały wieczór siedział zasmucony, całą noc nie zmrużył oka; a kiedy rankiem kamerlokaj idący z czekoladą do sypialni Pani, takową na sali zostawił, a sam po grzanki pobiegł do kucharza; Kasperek porwał za tacę i nie zważając co go czeka za taką zuchwałość, pędem przez garderobę fraucymeru pobiegł i poniósł czekoladę do alkierzyka Pani Chorążyny. Co on tam robił, nie było wiadomo nikomu, atoli ledwie co wyszedł z pokoju, posłyszano dzwonek Imości; marszałek był przywołany, i odebrał rozkaz: »Wziąć się natychmiast do Kasperka, ufryzować mu głowę i upudrować, a u kosmyka włosów uwiązać mu w tyle herbajtel, ubrać go zresztą we frak z ogromnémi guzikami w herby, w wązkie spodeńki, pończochy, i trzewiki.«

Marszałek odebrawszy ten rozkaz, przywołał do swojéj stancyi Kasperka, dwóch ludzi wzięto do pomocy; zaś na przypadek oporu stało dwóch pachołków w sieni; ale Kasperek dobrowolnie się dostawił, bez oporu poddał swoję głowę pod tę boleśną operacyję, a lubo nie mówił słowa, gorący pot płynął mu po czole, w oczach łzy świéciły. Kasper płakał ze wstydu; kiedy już ufryzowany, biały jak pudel, we fraku z ogromnémi guzikami stawił się przed swoim Panem. Chorąży wziął się za głowę a potém za boki od śmiéchu; biédny Kasperek co wtenczas uciérpiał, jemu i Bogu tylko było wiadomo.

Ale Pani Chorążyna zadowolniona z tego, że dwór cały w herbajtlach chodzi, w nagrodę Kasperkowi, że sam się ofiarował na to jéj ukontentowanie, dała swój konsens na to, ażeby do dworu, jaki ma otoczyć JWiel. Deputata na Trybunale Lubelskim, i Kasper należał; jakoż odjechał z Państwem do miasta Lublina.

Kiedy po Limicie Trybunału, Państwo Chorążostwo z dworem swoim powrócili do domu szczęśliwie, dnia następnego, po ich przyjeździe, marszałek przywołany został do gabinetu Pana; znajdowała się tamże Jéjmość; posłano i po Kasperka, a na podwórzu przy gruszce czekał już gotowy pachołek z korbaczem. I wnet zrobił się hałas we dworze, strach przejął każdego co widział te przygotowania do exekucyi odbyć się mającéj; na kogo bowiem te plagi zpaść miały, było niewiedziane. Więc z daleka od gruszki, od któréj jakiś wstręt oddalał każdego, stali słudzy i pachołki, z okien zaś garderoby wyglądały respektowe panny i służebne, gotując sobie zawczasu chusteczki do ociérania tych łez, które na widok kary i jęków one odbiérającego, wyléwać miały. Kiedy taki terror panicus panował na podwórzu, w gabinecie Pana Chorążego odbywały się surowe z delikwentem indagacye. Chorąży był tu Instigatorem, wnosił zaskarżenie a razem miał być i sędzią, i już w myśli kładł na szalę sprawiedliwości raz mniejszą to znowu większą liczbę plag, jakie na winowajcę spaść miały, ażeby sprawiedliwości zadosyć się stało, a razem i woli Magnifiki, która na miękkiém krzesełku usadowiona chociaż obecna, do mowy się nie brała, dla tego zapewnie, że wszystko co się działo, działo się po jéj woli, z jéj myślą zgodnie. Końcem rozpoznania wielkości winy, Pan Chorąży jął rekapitulować występki niegodnego sługi, i obracając się do Kasperka, u drzwi w pokornéj postawie stojącego, zaczął w ten sens:

»Waść — Kasprze! źle mi się coś sprawiałeś w Lublinie, albowiem na to mówiący, będąc sługą dworu mojego i domu błyszczącego splendorem, będąc sługą, mówię świętnego domu mojego, jakeś się poważył, gdzieżeś podział i zatracił twój rozum i obyczajność i wierność twoję? jakim czołem poważyłeś się liberyję, którą cię Pańska ubrała ręka, i na to mówiący, liberyję z guzikami, na których obadwa świetne herby domu Eismuntów, mojéj zacnéj małżonki i mój nareszcie, w połączeniu jaśnieją; a ty niegodny, Żydom za lichą mamonę ją przedałeś, w żydowskie ręce oddałeś, i w żydowskich rękach zostawiłeś, i dopuściłeś tego, że ona liberyja, one klejnoty dwóch domów naszych, na tandécie, pod oczyma publiki, przez dni kilka na brudnym haku wisiały! Nie dosyć na tém, bo na to mówiący, kiedy my o twojém brzyd-

kim postępowaniu zawiadomieni, z własnéj szkatułki te mizerne 17 złotych wyliczając, wykupili z rąk Żyda plugawych, herby nasze, i wspaniałomyślnością wiedzeni, przebaczyli tobie i znowu ubrali — ty, po-raz wtóry, tę odzież pańską przedawałeś, zastawiałeś żydom, że do tego przyszło, iż my wychodząc z Ratusza w licznéj komitywie JW. Panów Deputatów, tę odzież naszę, te nasze herby, sami własnémi oczyma, w rękach tandéciarza Żyda oglądać i za sługę swego się rumienić, i z téj poniewierki znowu wykupować je musieli; ażeby tedy, na to mówiący, to scandalum nie rozgłosiło się jeszcze więcéj po mieście, zawiesiliśmy tę sprawę do naszego przyjazdu do domu, i dziśto dopiéro, rzecz tę indagując, obrony wysłuchać, a karę wymierzyć postanowiliśmy. Więc, na to mówiący, mów, co masz na swoję obronę?« — Skończył Chorąży i czekał, ale Kasperek dopiéro po trzykrotném napomnieniu westchnął i rzekł:

»Zgrzészyłem, moja wina, moja bardzo wielka wina, i o nic nie proszę, jeno o to, ażebym za takieto poniewieranie odzieży Pańskiéj i herbów imienia Pańskiego, i zasłużoną otrzymał karę — bo...«

»He — he — (ozwał się Chorąży) pokuta sera — nie bywa vera, zważywsy jednak długie, jego zasługi, i tę pokorę i submissye, Mości Marszałku, wyliczysz mu Waść — plag....«

Marszałek czekał — a w końcu zapytał się: wiele?

Chorąży powtórzył: »Wyliczysz mu Waść plag....« i spojrzał na żonę, która podniosłszy obie rączki, pokazała mu dziesięć swoich paluszków. — Chorąży rzekł: »Dziesięć« — Ale Magnifika zakrząkła, Chorąży spojrzał i obaczył po raz wtóry paluszki Imości cienkie i spiczate gdyby dziesięć najeżonych szpileczek storcem stojących w powietrzu; Chorąży kiwnął głową — i do piérwszéj dziesiątki — dodał drugie dziesięć plag.

Imość zakrząkła znowu — Chorąży obaczył po raz trzeci spileczki jednéj rączki sterczące w powietrzu, i liczbę 5 już miał na języku, zatrzymał się jednak, szepnąwszy do żony:

»Moje życie, tę resztę, na to mówiący, zachowam dla kogo innego;« Magnifika spuściła rączkę, natomiast podniesła drugą w górę, i z zamachem przecięła nią powietrze.

A Chorąży zrozumiał i rzekł do marszałka: »Plag odléwanych;« poczém ten ujawszy delikwenta za rękę, wyprowadził go z gabinetu i wiódł do gruszki. — A był tram ze staréj gruszki na podwórzu przed samym gankiem położony na trawniku, a służył za żydel do exekucyi. I nie bawiąc posłyszano w gabinecie i jęczenia odbiórającego plagi, których smutne echo towarzyszyło téj katowni; i świadczyło o srogich bitego Kasperka boleściach.

Byłato piérwsza kara, którę Kasperek w czasie swojéj 50letniéj służby odbiérał — i piérwsza, na jaką zasłużył, co dziwiło nie pomału drugich służebnych, i tém więcéj, ile że Kasperka wszyscy za całe nie marnotrawnika mieli i znali, a że w starości takiego dopuścił się grzészku, i ażeby aż Pańską liberyję przedawał, o tém nikt nie byłby pomyślał. — — Co jemu się stało? w głowę zachodzili starzy i młodzi, a fraucymer cały w oknie, rzewnie płakał, tak serdecznie biédnego Kasperka żałował. Ale i Chorążemu zabrało się na litość nad sługą tak srogo katowanym; za każdym uderzeniem a jękiem staruszka, poczuł w sercu jakby ból od ostrego noża kłującego go wewnętrznie.

Chorążyna tymczasem poszła do swojego alkierzyka, pachołkowi ociężała ręka, odpoczął na chwilę, marszałek dopiéro połowę odliczył razów. Chorąży korzystując z oddalenia się małżonki, szybko otworzył szybkę u okna, przywoławszy marszałka, szepnął mu coś do ucha. Uwolniono Kasperka od reszty plag, pomimo tego Chorąży chodził po gabinecie jakiś smutny, niespokojny i dziwnie zafrasowany; po długich medytacyjach z sobą, rzekł w końcu:

»Zaprawdę żal mi Kasperka — ależ sam sobie winien, na plagi jakie odebrał, zasłużył; za grzéchy nasze lepiéj tu być karanym, jak tam na tamtym świecie.«

Kiedy tak sumował Chorąży i tę przykrość, jaką doświadczył tego ranka, perswazyjami od siebie oddalał, rękę która biła Kasperka, ręką sprawiedliwości nazywając — drzwi się otworzyły; byłto marszałek, który przyszedł prosić imieniem Kasperka, ażeby mu wolno było przyjść do Pana, upaść mu do nóg i za odebraną karę podziękować; bardzo się oto domaga, dodał Marszałek.

»Zresztą (na to mówiący) to niech i przyjdzie.« — Chorąży czekał na przybycie sługi, atoli nie było w nim téj dumy i indeferentyzmu, jaką sędzia przypuszcza do siebie delinkwenta, bo Pan Bóg łaskaw dał Chorążemu serce skłonne do litości. Drzwiczki otworzyły się, Kasperek w progu już przed Panem swoim, atoli nie zabiérał głosu, zwiesiwszy głowę milczał.

Chorąży na swojém krzesełku siedzący, z ręką jedną na poręczy opartą, drugą obracał łańcuszek, który z-pod zapiętego żupana od pektoralika spadał mu na piersi, i zaambarasowany, nie wiedział od czego zacząć. Po długiém milczeniu przemówił wreszcie:

»No, cóż Waść, Kasperku, na to mówiący?

czy masz mnie co do powiedzenia?« zapytał — patrząc na swój łańcuszek złoty.

»Nic —« odpowiedział sługa.

»Jakto nic?« odrzekł Chorąży — i spojrzał na twarz Kasperka.

Na twarzy Kasperka była boleść wyryta, w jego oczach stały jeszcze łzy mokre.

»Jakto — nic?« powtórzył Chorąży; a cóżto Wasze Kasperku masz za pismo w zanadrzu, czy do mnie może?« Kasperek wyjął papiér, oddał go swemu panu — i powrócił na swoje miejsce u progu.

Chorąży ciekawością niesiony, rozwinął kopertę — i odczytał: »Suplika.«

»Cóżto znowu za suplika — na pismie —?« zapytał Chorąży, »od kogo?«

»Od Kasperka;« odpowiedział Kasperek.

»Od ciebie? na to mówiący, pytam, dla czego, jeżeli masz waść jaką prożbę do mnie, dla czego na to mówiacy, nie przedłożysz ją ustnie?«

»Mnie to nie wolno;« odrzekł Kasperek.

»Co nie wolno!« obruszył się Chorąży, »albož ci to kto zakazał?«

»Wielmożny Pan sam zakazał;« odpowiedział sługa.

»Co, ja? kiedyżto było? na to mówiący, nie przypominam sobie.« — Kasperek milczał.

»O cóż wasze tu prosisz? czego żądasz odemnie?«

»Proszę, aby W. Pan chciał przeczytac moję suplikę.«

»Kto ją pisał?« zapytał Pan.

»Zapłaciłem organiście w Lublinie; jam dyktował a on ją pisał;« odrzekł sługa.

»Jakto, waść Kasperku, jeszcze w Lublinie miałeś do mnie jakąś prożbę --? czemużeś mi ją zaraz nie przedstawił?«

»Czekałem póki nie odbiorę moich plag, téj mojéj ciężkiéj, a jednak zasłużonéj kary, za oddanie do rąk żydowskich Pańskiéj odzieży z herbami Pańskiémi.« —

Chorąży — nie rzekł na to słowa, tylko wziął się do czytania supliki, która zawiérała co następuje:

»Wielo — możnemu Panu — panu do bremu
»i Sprawied — liwemu.

»Nizyi pot pisany Dzisiaj kare ot trzymałem »i za te karę oras iza plagi moje bo leśliwe »przed sie wzionem upasdc do nug Wiel moż»nemu Panu do bremu y sprawied liwemu apo »wtorą razą — Panu Bogu po dzię kować ze »dopuścił no to że ja z mojego przed stępstwa »naprzeciw Pana — już roz grzeszony iestem, »boia bijąc sie w piersi wyz naie żem wielgiego »i do puściłem sie przestęm stwa — żem od »dał w rę cebrudne Zydo skie — Pańskką — »odzież i luberye która nosi na sobie chonor »Pański — imie i herby szlacheckie pańskie — »moja wina wielga i bardzo wielga do tego sie »przy znaie i wyznaie że temi plagami byłem »sprawie — dliwie obłożony — Ale nizyi pot pi»sany — prosi oras Wel mozego Pana do brego »y sprawied liwego — ażeby wejzrał deli katnym »rozumem swoim, to, jeżelija nizyi pot pisany »zawinił, bom zostawił i oddał naponie wierke »odzież Pańską w rę ce Żydoskie nie będziesz »— że to jeszcze więgsza wina i przestęm stwo? »jeżeli niektóry Pan Wiel możny nie odzież ale »swoje własne dziecie — albo teś syna swego »własnego — który tagże nosi i honor pański — »i imie i herby szlacheckie pańskie — kiedy to »dziecie odda na poniewierke i trzymanie — do »rąk brudnych żydostwa w żydoskich rękach »pozostawi synaczka kochanego który więcéj coś »wart jak liberya albo odzież — bo odzienie za »pieniądze sie kupuje a Synów to Pan Bóg daje »— a i opiekować sie nie mi przykazał, surowo —«

Na Chorążego gorący pot wystąpił; dla ukrycia swojego pomieszania czytał dalej —

»Nizyi pot pisany — ot trzymał już swoje plagi »na które zasłużył swoyim przed tęmstwem a »któż tego Wel możnego Pana — karać będzie —?«

Chorąży się spocił jakby cepami robił, przerwał czytanie a jeszcze patrzał w ten papiér, który drżał w rękach jego jak liść na osice.

Kasper w progu z podełba tylko spoglądał na Pana gorącą łaźnię odbywającego, ciekawy wszelako, coto z tego będzie — bo zaprawdę na wielkie rzeczy się odważył, pisać Panu swemu takie ostre przymówki i wyrzuty przykre.

Chwila upłynęła, poczém Chorąży, jakby się z drzémki nagle rozbudził, zerwał się z krzesełka i rzekł:

»Kasprze — idź — bież — każ co prędzéj zaprzęgać do kolasy; jadę na folwark — do mojego Nikodemka — ty ze mną pojedziesz.«

Rozweseliła się twarz sługi; co tchu biegł do stajni, a po drodze szeptał do siebie: »Udał się fortel, a choć ciało pokutuje, siérota się wyratuje.«

Kiedy się krzątano na podwórzu około wyciągania kolasy z wozowni i zaprzęgania, tymczasem Chorąży w swoim gabinecie odbywał z sobą długie rekolekcyje. Jakie one tam były, tegom się nie dowiedział, ani je powtórzę. Rychło zaterkotała kolasa przed gankiem, wsiadł Pan, sługę swego Kasperka posadził przy sobie na lewéj stronie; Kasperek rósł w radościach jak na drożdżach, a fraucymer gdy to obaczył okienkiem, wziął się cały za głowę, i wysłał z swego grona deputacyję do Imości Dobrodziejki, która o tém wszystkim zdała relacyję.

Pani Chorążyna potrochlała, zatrzęsły jéj się ręce z samego gniewu, i książeczkę do modlitwy wypuściły na ziemię. — Po chwili Chorążyna przyszła do siebie, zadzwoniła na sługę, aby jéj książeczkę, podniosła — i, jako on Cezar, który razem dwa listy dyktował, tak ona z pacierzem, który szeptała, myślała o czemś innem jeszcze.

Nie skończyła pacierza, kiedy drzwi od alkiérza otworzyły się, a przed jéj obliczem stanęła wysoka poważna postać małżonka, trzymającego za rękę chłopczynę obdartą i bosą.

Na ten niespodziéwany widok — Imość już zemdleć chciała, przypomniawszy sobie jednak, że w całym domu nié ma ani kropli Larendogry do trzeźwienia, odłożyła tę nagłą chorobę na czas późniéjszy — i tylko małą twarzyczką zrobiwszy ogromnego marsa — rzekła głosem z gniewu drzącym:

»Kiedy tak sobie jegomość postępuje, to ja odjeżdżam z domu do Księżnéj mojéj cioci, jeszcze dzisiaj, jeszcze dzisiaj pojadę.«

»W takim razie (odrzekł mąż) marszałek odbierze dyspozycyją, ażeby miał w pogotowiu 5 koni do karety i osobną brykę pod rzeczy i wyprawę Asani Dobrodziejki.«

Chorążyna nie zważając już na to, że Larendogry nié ma w domu, zemdlała — a Chorąży wyszedł z pokoju i kazał zaprzęgać — ale nie do karety, tylko do bryki, Nikodemka wykąpać, i w bieliznę i w sukienki czyste przybrać polecił. I tegoż jeszcze dnia zabrawszy wszystkich trzech chłopaków z sobą, razem z Kasperkiem wyjechał do Warszawy do Pana Konarskiego. Nikodemka i dwóch synków młodszych oddał do Konwiktu Nobilium. Co sprawiwszy, wrócił na wieś ze spokojnym umysłem, ale sercem trapionem zawdy. Trapiła go ta myśl, że dotąd za swoje przestępstwo, za grzészną niegłość dla żony, za ten grzech popełniony przeciw miłości i obowiązkom ojca, nie odprawił pokuty, zasłużonéj nie odebrał kary. I tegoż jeszcze wieczora, kiedy się wszyscy spać pokładli — Chorąży przywołał do siebie Kasperka — długo z nim rozmawiał; w końcu zdjął dyscyplinę z gwoździa, na którym wisiała, i oddał ją do rąk Kasperka, a oddając mówił:

»Kasprze — twoja ręka będzie mnie siekła, abyś mą duszę wybawił z piekła; co masz siły — nie żałuj ręki, ażebym ja na tamtym świecie nie żałował, żem niedosyć pokutował.« — Kasperek dla zbawienia duszy czynił zadość woli Pańskiéj, bił i siekł co mocy, a płakał i wzdychał z miłosierdzia. Po téj nocy, przez tydzień cały Chorąży zalegał łoże — po czém wstał — udał się do alkierza Imości. Spodziéwał się wielkiéj burzy — a tu był tylko mały, piękny dészczyk płaczu z rozrzéwnienia, że obaczyła znowu męża; — i z tęsknoty za dziećmi, że je nie widzi.

*

W Zawładowie w kościele parafijalnym spoczywają ciała Chorążego i jego synów. Ich pamięci nié ma poświęconego pomnika, ale na ścianie od zakrystyi, wmurowany marmur nosi napis taki:

KASPROWI CIUPCIŃSKIEMU
DOBREMU SŁUDZE
WIERNY PAN
POŁOŻYŁ.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 6. i obejmuje: 1) O sposobach użyźniania gruntów piaszczystych (dokończenie). 2) Słówko do słówka. 3) O wyrobie cukru burakowego pod względem gospodarstwa krajowego i przemysłowości (dokończenie). 4) Nowe rośliny pastewne. 5) Sposób przyrządzenia smacznego karmu dla krów do wydoju. 6) Zbyt kwaśna braha (wywar wódczany) jest przyczyną grudy u bydła.

Z Wiednia. Z 1. stycz. r. b. wychodzi w Wiedniu pod redakcyją Adolfa Schmidl, nowe pismo literackie: *Oesterreichische Blätter für Literatur und Kunst*. Pismo to ogłasza: że zajmować się będzie szczególniej piśmiennictwem włoskiem i sławiańskiem, które w Niemczech za mało są znane i nie należycie cenione. Numer 3. tego pisma z dnia 13. stycznia zawiera: »Pogląd na czasopisma polskie z r. 1843.« W tym artykule są wyświecone pokrótce: treść, dążenie i prace w dwudziestu polskich pismach czasowych. Krytyka ta mówiąc o dziennikarstwie naszem równie z pochwałą i naganą, zachowuje wszelako godność i przyzwoitość. Na wstępie do téj recenzyi czytamy te słowa: Polska literatura perjodyczna, chociaż się od lat kilku znacznie dźwigać zaczyna, w porównaniu wszelako z innemi działami polskiéj literatury w przeszłosci, i z piśmiennictwem perjodycznem reszty Europy, jest jeszcze w stanie niemowlęctwa. Wzrostowi dziennikarstwa polskiego staje na przeszkodzie, raz: brak licznych czytelników, powtóre: prawie zupełny brak krytyki. Literatura polska a więc i dziennikarstwo znajduje czytelników swoich tylko w wyższéj, majętniejszéj klasie szlachty, ale i ta, przenosi dzienniki i romanse francuzkie nad własne, krajowe! Klasa średnia zajmuje się mało czytaniem, większa jéj część zostaje na bardzo nizkim stopniu oświaty i nie czuje potrzeby czytania książek. Nakład dzieł polskich nie wynosi zwykle więcej jak 500 do 1000 egzemplarzy, a nakład 1500 egzemplarzy należy już do rzadkich osobliwości. Toż samo ma się z pismami czasowémi. Jest to szczególnem szczęściem, jeżeli który dziennik polski ma 500 prenumerantów. Drugą przeszkodą tamującą wzrost polskiego dziennikarstwa jest brak zdrowej, głębokiéj i bezstronnéj krytyki. Przez to nie chcemy bynajmniéj twierdzić, że polskiéj literaturze całkiem na krytyce zbywa, lecz rzadkie wyjątki nie stanowią jeszcze całości. Wszelako i w téj mierze dają się od lat kilku postrzegać gorliwe i szczére usiłowania, aby wejść na lepszą drogę, i coraz widoczniéj występuje potrzeba umiejętnéj krytyki jako niezbędnéj dźwigni do wzrostu każdéj literatury. Krytyka dziennikarstwa polskiego zasadza się z małemi tylko wyjątkami (i te są przytoczone) na przesadnéj pochwale lub naganie: lub chwali bez miary, lub okrywa obelgami, tchnącemi po największéj części osobistością (takie krytyki są prawie każdego numeru Tygodnika literackiego artykułem głównym), nie troszcząc się bynajmniéj o powody krytycznego sądu. Co większa, bardzo często, jeszcze *a priori*, przed wyjściem dzieła fabrykują się takie krytyki, lub, co się częściéj zdarza, po pobieżnem przerzuceniu kartek dzieła jakiego, już i krytyka gotowa. Krytyka czasowego piśmiennictwa polskiego jest po największéj części w ręku *cliqueurów*, którzy przyjaciołom swoich i towarzyszom kadzą pochwałami, i wynoszą ich na literatów pierwszego rzędu, skoro kilku piosenkom lub powiastkom krojem francuzkim pisanym, dali ujrzeć światło dzienne. Na każdego z partyi przeciwnéj rzucają się bez miłosierdzia, i z poniżeniem godności literatury, szarpią imię i sławę przeciwnika. Krytycy nie wybiérają sobie wyłącznego dla krytyki pola, ale jedno i to samo pióro, krytykuje dzieła: o literaturze, historyi, filozofii, o sztukach pięknych, rolnictwie, o chowie koni i owiec, jeźli tylko o przyjaciela lub nie-

przyjaciela chodzi.« — Tu następują krótkie uwagi o talencie redaktorów i o zachowaniu taktu w prowadzeniu dzienników polskich, a potem idą krytyczne postrzeżenia nad każdym dziennikiem z-osobna. Do uwag tych, jako nie wchodzących w zakres naszych Rozmaitości, odsełamy czytelników do samego pisma. Tyle na ten raz możemy zapewnić, że w tym poglądzie nad peryjodyczną literaturą naszą, obok bezstronności, znajdujemy także rzetelną chociaż ciérpką prawdę.

List Catalani na pogłoskę o jéj śmierci. Dr. Heller, redaktor wychodzącego w Lipsku pisma: *Die Rosen*, ogłosił następujący list téj sławnéj spiewaczki: »Mości Panie! Cóżem zawiniła dziennikarstwu niemieckiému, że już po raz czwarty na mój pogrzeb świat zaprasza. Jestem wprawdzie w wieku, mam lat 64, ale żyję dotąd w zupełném zdrowiu, żyję mojemi wspomnieniami w spokojném ustroniu. Dzienniki francuzkie, przez niemieckich dziennikarzy w błąd wprowadzone już po raz drugi, a dzienniki angielskie raz tylko, przesłały mi w dom mój, moję kartkę pośmiertną. Z początku wiadomość ta zdawała mi się bardziéj pocieszną niż zatrważającą. Z zadowoleniem czytałam liczne pochwały, które do grobu mi towarzyszyły. Wiosna mego artystowskiego życia zdawała mi się raz jeszcze wykwitać z grobu, który kwiatami obsypano, a który, dzięki Niebu, nie miałam jeszcze zapełnić zwłokami mojémi. Wyznaję jednak, że ponowiona wiadomość o mojéj śmierci, zaczyna mię strachem przerażać. Nie jestżeto srogiém okrucieństwem, nawoływać na staruszkę nieustannie, że już umarła? W końcu sama temu uwierzę i umrę rzeczywiście. Dziennikarstwo tak mało udolne wzniecić zapał do sztuki i natchnąć życiem, będzie mieć wtedy to smutne zadowolenie, że serce moje całkiem wyziębiło i śmiertelny cios mu zadało. Ale przez Boga, wszak ja nie chcę już więcej spiewać, nie chcę zachodzić drogi nowym boginiom waszym, przed któremi teraz w prochu leżycie, abyście je w krótkim może czasie równie jak mnie, bez litości i bez serca do grobu skazali. Dozwolcież mi przynajmniéj oddychać powietrzem! Również za małe jest moje mienie, aby chciwość tych, co mię przeżyją, podniecać. Co mi pozostawiła rozrzutność mego małżonka, to oddałam na powrót sztuce, będąc na czele opery włoskiéj w Paryżu. Dochody z moich koncertów dzieliłam przez większą połowę z ubóstwem. Wila, w któréj mieszkam i kilka tysięcy lirów dochodu, otoż wszystko, com uratowała z miljonów, któremi mię Europa obsypywała. Dajcież mi, proszę was, używać spokojnie tak skromnego majątku, i dozwólcie mi jeszcze choć chwilę cieszyć się życiem. Z dziennikarskich o śmierci mojéj prostowań dowiaduję się, że moim ostatnim mordercą był *signor* Karol Herlossohn z Lipska. Pewna niemiecka spiewaczka, którę zeszłego lata w samotności mojéj miałam przyjemność poznać, śpiewała mi czarującą pieśń w języku niemieckim: »*Ob ich dich liebe, frage die Sterne*.« Melodyja i słowa, które poznałam z jéj tłumaczenia, wzruszyły do głębi serce moje, chociaż się już oddawna wyrzekłam miłości. Cavaliere Fraiselli z Florencyi, gruntowny znawca niemieckiego języka, przelał tę pieśń dla mnie na język włoski. Odtąd ją często sama spiewałam — a teraz tenże sam autor téj pieśni przecina pasmo mego życia, a do tego jeszcze w piśmie, które się nie nazywa ani »Krukiem« ani »Puszczykiem«, ale »Gwiazdą poranną.« Wiém o tém dobrze, że mnie teraz patrzyć na gwiazdy zachodzącego, ale nie wschodzącego dnia! Uniewinnienie, jakie signor Herlossohn daje, piętnuje go znamieniem nieprzyzwoitości (nie chcemy w tłumaczeniu zaostrzać słowa *Scostumatezza*). On utrzymuje, że chciał mniejsze dzienniki w błąd wprowadzić, dorzucając im starą nowinę, żem już przed 5 laty umarła, jak gdyby wydawca »Powszechnego słownika teatralnego« potrzebował przytaczać dowody, że z poświęceniem się heroiczném łgać umię! Ta tylko zachodzi różnica, że w słowniku swoim poczynił wszystkie artystki o lat kilka młodszémi, mnie zaś zabił trochę zawcześnie. Powiedz mu wpan, że teraz jego pieśni nie mogę spiewać bez téj zatrważającej myśli, że sobie nucę pieśń pogrzebową. »Kobieta,« mówi mój rodak Wenecyjanin Casanova, »ma ten tylko wiek, w jakim ją widzą oczy kochanka.« O gdyby świat, który mi słał pod nogi wszystkie swoje wawrzyny, zachował był dla mnie więcej miłości, czci i spółczucia, nie miałby mię teraz za tak szkaradnie starą, ani też dozwolił, zabijać mię tak bezsumiennie! Jestto smutne doświadczenie, które mi daje dziennikarstwo! Racz wpan te słów kilka umieścić w piśmie swojém w słownem tłumaczeniu. Angelica Catalani, po mężu Valabregue. W Florencyi w dzień Trzech Króli 1844.«

Morowe powietrze w kalendarzu. W roku 1811 w dziwnym znajdował się kłopocie sławny w swoim czasie prorok Mathieu Laensberg. Jak zwykle tak i w owym roku ukończył on swój prorocki kalendarz jeszcze sześcią miesiącami piérwéj przed zaczęciem nowego roku i odesłał go do jeneralnego dyrektora księgarskiego handlu. Czas naglił coraz bardziéj, piérwszy styczeń był już blisko, a gdy Laensberg żadnéj nie odbiera odpowiedzi, sam udaje się z Leodyjum do Paryża, aby się z cenzorem rozmówić. Przez ośm dni nie mógł się doczekać przystępu, a gdy stanął przed tym możnym panem, ten ofuknął go następującemi słowy: »Cóżto za śmiałość, osobiście stawać przedemną!« — »Kalendarz mój czeka już u pana na przejrzenie od 3 miesięcy... sądziłem więc...« — »Czytałem go i nie mogę dać pozwolenia aby wyszedł z druku.« — »Wolnoż mi zapytać dla czego?« — »Dla czego? Oto dla tego, że wpan przepowiadasz morowe powietrze w Paryżu, w Paryżu! czy wpan zmysły postradałeś! W stolicy Francyi, cesarskiéj rezydencyi! Proroku nieszczęścia, czy chcesz, aby cesarz na morowę zarazę umarł?« — »Niech mnie Bóg zachowa! Lecz, jeźli do wydania mego kalendarza ta jedyna jest przeszkoda, mogę ją usunąć, przeniosę morowe powietrze do Madrytu.« — »Co mówisz, do Madrytu? tam, gdzie brat Cesarza panuje!« — »To może lepiéj będzie, do Medyjolanu?« — »Co wpanu do głowy przyszło! Medyjolan jest miastem cesarskim, stolicą królestwa włoskiego.« — »No, więc niech morowa zaraza w Rzymie się pojawi.« — »Nieszczęsny człowieku, trafiłeś z deszczu pod rynwę, czyś zapomniał, że Rzym ma teraz króla miasto papieża, i że tym królem jest syn Cesarza?« — »Ale gdzież ja biédny moję morowę zarazę podzieję? Muszę przecież dla niéj jakieś miejsce znaleźć, moj kalendarz bez niéj obejść się nie może.« — »Musi obejść się, chyba byś wpan swoję zarazę do Anglii wyprawił, temu krajowi życzymy ją z całej duszy, bo bardzo trudno, aby tam Cesarz mógł wylądować.« — Na tém stanęło, morowe powietrze wysłano do Anglii, a kalendarz wyszedł z druku.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.